Nr. 19. Rok I.



NAUKOWY, LITERACKI I ARTYSTYCZNY.

Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 zltr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 6 Maja 1871.

Redakcja przy placu Wilhelmowskim Nr. 5.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Filozofja natury

przez

Henryka Levittoux,

krytycznie przedstawiona

przez

Karola Libelta.

(Dalszy ciąg.)

O wiele ważniejsze są doświadczenia Flourensa poczynione z mózgiem i nerwami. Siły czucia, ruchu, życia, poruszania się z miejsca i intelligencji są różne od siebie, bo złożone są w osobnych organach. Z mlecza wychodzą nerwy porami, a każda pora składa się z tylnego i przedniego nerwu. Czucie sprawiają nerwy tylne, ruch nerwy przednie. Węzeł życia (noeud vital) spoczywa między mózgiem a mleczem, w otworze szerokości linji, którym mlecz przechodzi. Ukłucie tego miejsca, natychmiast śmierć przynosi. W móżdżku złożona harmonja poruszeń wszelakich. Skaleczywszy u gołębia prawą część móżdżku, gołąb będzie się poruszał na lewo, skaleczywszy lewą część, będzie się poruszał na prawo, skaleczywszy obie części, będzie się w tył cofał. W wielkim mózgu złożone władze intelligencji, pamięć, sąd, rozsądek i t. d. Odetnijmy mózg, zwierzę zachowa harmonją w ruchach a straci intelligencją, i na odwrót odcinając móżdżek, zostanie intelligencja a harmonja poruszeń ustaje. Mózg można krajać w kawałki, a krajanie to żadnéj boleści, żadnego uczucia nie sprawia. Nerwy zmysłowe odnoszą się do mózgu. Władza odbierania wrażeń jest w mózgu. Zniszczywszy tę część mózgu, ustanie percepcja, acz zmysł funkcje swoje odbywać będzie. Odjąwszy tuberkuł mózgu, kędy się nerw zmysłowy komunikuje, ustaną funkcje samego zmysłu (str. 116 i n.).

Widać z tego wszystkiego, że myśleć nie jest czuć i że czucie zupełnie różne jest od intelligencji. Wszakże za porywczy ztąd wniosek autora „i oto cała filozofja obalona.“ Chociaż czucie leży w nerwach i w mleczu pacierzonym, gdzie nie ma intelligencji, a intelligencja jest w mózgu, gdzie nie ma czucia, to jednak jest nieustające oddziaływanie myśli na czucie, i czucia na myśl. Sama nawet percepcya, czyli odbieranie przez mózg wrażeń zmysłowych i wszelkich objawów czucia, dowodzi najwyraźniéj, że te wrażenia są pokarmem myśli, i że bez nich władze intelligencji nie obudziłyby się wcale. Że na odwrót pod zarządem rozumu odbywa się większa część funkcji zmysłowych, że nawet wola człowieka, intelligencją kierowana, samo życie idei w ofierze przynieść może, jest rzeczą wiadomą. Przy takim nierozerwanym związku czucia i myśli i wzajemnego na siebie oddziaływania, filozofja nie ponosi uszczerbku, chociażby z niewiadomości fizjologicznéj uważała, że czucie i intelligencja jest jedną i tą samą władzą duszy.

Flourens przyjmuje trzy stopnie siły intelligencyjnéj: instynkt, intelligencją i rozum. Pająk zaledwie się wylęże snuje sztucznie swoją pajęczynę; bóbr odebrany od matki i wykarmiony, buduje sobie domek acz téj budowy nigdzie nie widział. Są to więc instynktowe czyli wrodzone władze intelligencyjne. Inne

zwierzęta, jak pies, koń, zdolne są nauczyć się wiele od ludzi, i wykonywać czego się nauczyły, to jest ich intelligencja. Rozum tylko posiada człowiek, rozumiejący się, sądzący i pojmujący Pan Levittoux różnemi dowodzi przykładami, że ten podział ostać się nie może. Mózg, organ intelligencji, jest jednym organem, można go obcinać do pewnych granic, a żadna władza intelligencji nie ustanie. Lecz przeszedłszy pewne granice, wszystkie władze naraz ustają, cała intelligencja umiera. Zagójmy ranę w mózgu, która tę utratę sprawiła, a wszystkie władze intelligencji powrócą. Już ta okoliczność, jako i ta druga, że jest między mózgiem a mleczem węzeł życia, w którym streszczone jest całe życie i cała intelligencja, dowodzą jedności siły intelligencyjnéj, która w różnym stopniu doskonałości u zwierząt i u ludzi objawiać się może.

Czém jest tak nazwany instynkt u zwierząt, tém są wrodzone talenta u ludzi, czyli to, co nazywamy geniuszem. Ale i ludzie instynktem są obdarzeni, tam szczególniéj, gdzie chodzi o zachowanie życia. Jeżeli zagrzmi i z przestrachu chwytam się oburącz za głowę, instynktowo chcę chronić od szwanku tę najszlachetniejszą i najdoskonalszą część ciała, będącą siedliskiem duszy. Znów zwierzętom nie można odmówić pamięci, sądu, a nawet samodzielnéj kombinacji faktów. Jeżeli pająk przecina nitki swéj siatki przed burzą, aby wiatr całéj budowy nie zwalił, na podobieństwo młynarza, który wyjmuje na ten sam cel deski ze szmigów; jeżeli pszczoła bierze kamyk w łapki, ażeby się stać cięższą, i aby ją wicher nie uniósł: są to oznaki rozsądku tych drobnych zwierzątek. Utrzymują wprawdzie przyrodnicy że zwierzęta robią bezwiednie i bez myśli tylko to, co ich ojcowie i praojcowie robili. Aleć to samo i o ludziach powiedzieć można, że się w tém samém kółku zwyczajów i obyczajów obracają, które przejęli od przodków.

Dwie są tylko różnice intelligencji ludzkiéj od intelligencji zwierzęcéj. Naprzód, że zwierzęta nie posiadają władzy uznania się w sobie i podniesienia się do Boga i do moralności; powtóre, że zakres rozwoju intelligencji człowieka zamknięty jest w wielkiéj epoce co do czasu i pokoleń, kiedy u zwierząt ta sfera rozwoju jest skończoną i potomstwo nie jest mędrsze od rodziców i praojców swoich (str. 140 i n.).

Wedle autora filozofji natury, siła intelligencji jest jedna u ludzi i u zwierząt, tylko tam więcéj, tu mniéj rozwinięta. Jest to ta sama siła, która w innéj formie objawia się w roślinach, gdy te bezwiednie za zmrokiem listki swoje zamykają a roztulają je i obracają, kiedy wschodzące słońce promieńmi swemi je ogrzeje. Jest to ta sama siła, która w innéj jeszcze formie, w naturze nieorganicznéj życie i duszę tworów dokumentuje. Jedność więc siły jest w rozmaitości jéj objawów; jedność materji jest w rozmaitości jéj form i stopniu organizacji. Jedność siły i materji jest siłą w całéj naturze wyrażoną (str. 147).

d) Działanie sił w mutacjach materji i w typach trzech królestw natury.

Jak życie człowieka z dwóch połowic się składa z jednéj połowy rośnienia i dojrzewania, z drugiéj stopniowego cofania się do materji, czyli do śmierci, z czego powstają cztery pory wieku — tak i świat, a w szczególności ziemia nasza ma swoje epoki, które wedle autora sprowadzają gwałtowne rewolucje i zniszczenia, jakiemi były i będą jeszcze potopy. Jak ginie gąsienica, aby zamienić się w poczwarkę, a ta ginie aby wydać motyla, tak wedle nauki Cuvier'go, wyginęły istoty pierwotne, aby dać miejsce nowym generacjom zwierząt. Typy pierwiastkowe tych ostatnich wymarły, to co jest, wyrobiło się pod wpływem zmian klimatycznych i społecznych. Człowiek przedpotopowy, jakiego przed kilku laty odnaleziono w pokładach czwarto-rzędowych, zaskoczonego potopem przy uczcie, na któréj kości zwierząt ogryzał i szpikiem ich się ugaszczał, był to człowiek-zwierzę, do dzisiejszego, nie podobny, stanowiący inny typ i inną rasę.

Są to wszystko działania siły, zdążającéj do coraz doskonalszego organizmu. Mózg w człowieku, nie tyle jego objętość i waga, ile delikatność jego szaréj masy nerwowéj, jest organem najwyżéj posuniętym przez siłę wytwarzającą, bo stał się narzędziem samego ducha człowieczego, pojmującego się rozumem i poznawającego Boga stworzyciela i moralny porządek świata. Cywilizacja i ukształcenie sprowadza ten rozwój duchowy. Między ukształconym mężem a nieumiejętnym bez stosunków z ludźmi i naturę wychowanym odludkiem, może być więcéj uderzająca różnica niż między małpą a człowiekiem.

Trójka sił działa w każdym żywotnym tworze: siły proste czyli materjalne, dające początek materji prostéj, siły organiczne, wytwarzające materją na pewien indywidualny organizm, i siły intelligencyjne. Harmonijne, nie ustające działanie tych sił jest życiem. Przerwanie procesu mutacyi materji w danéj istocie organicznéj jest śmiercią. Gdy prąd ciągłości mutacji zbacza w drogę do sił prostych, powstaje przyczyna choroby. Walka tych dwóch prądów sił o władzę nad materją jest gorączką. Tryumf jednego prądu nad drugim jest powrotem do zdrowia lub skonem. Podtrzymywanie w téj walce prądu sił organicznych, a ubezwładnianie prądu sił prostych, jest sztuką lekarską.

Za najwyższą potęgę siły, uważa autor rozum w miłości (str. 155). Jest to jedno z wyrażeń jemu tylko właściwych, jak odpychanie w przyciąganiu; bo rozum będący natury krytycznéj jest odpychającym, a miłość przysięgającym pierwiastkiem. Nie ulega wątpliwości, że w tworach całéj natury prześwieca z jednéj strony mądrość Boża, co jest rozumu znaczeniem, z drugiéj strony uwydatnia się tak konserwatyzm, to jest dążenie do utrzymania swojego żywota indywidualnego jak oddziaływanie każdego tworu na całą naturę i oddziaływanie całéj natury na twór każdy, co jest znamieniem miłości i powinowactwa. Mądrość w miłości jest zatem nie tylko w człowieku ale i w kamieniu. Bo słusznie powiada autor: że natura jest ręką tam, gdzie nie ma ręki, że jest mózgiem i sercem tam, gdzie pozornie wieczna obojętność i milczenie panuje. (str. 156) — Cała natura pracuje, ażeby najmniéjszy jéj proszek był mądry, ażeby prawu mądrości i miłości w niéj nie zaprzeczał, ażeby całéj naturze w swoim zakresie mądrze służył. (str. 157).

Ciało organiczne jest wyrazem wszystkich sił i wszystkich form złożonych, do jakich doprowadzić może siła pierwotna. Ztąd pochodzi, że każdy organizm jest kunsztowną całością ciał stałych, płynnych i gazowych, kiedy każdy twór nie organiczny jeden tylko stan ciała przedstawia. Ale mimo téj różnicy, jest działanie siły tu i tam to samo. Światło, ciepło i woda są wszędzie życiodajnemi pierwiastkami. Czem cieplik jest dla ciał martwych, obudzający rozprężliwość jego, tem są uczucia dla zwierząt i ludzi, wywołujące objawy już gniewu i oburzenia, już radości i rozweselenia.

Nie ma samodzielnego tworzenia się (génération spontanée) wszystko, co żyje, wyradza się z jaj z zapłodu. A trawienie i utrzymanie gatunku, czyli konserwacja i reprodukcja, są dwiema fundamentalnemi funkcjami zwierząt i ludzi ściśle związane z rozwojem każdego organizmu.

Pan Levittoux folgując teorji stopniowego rzwijania się tworów coraz doskonalszych, od atomu aż do czło-

wieka, ogłasza się téż zwolennikiem zapatrywań Geoffroy St. Hilaire'a, który stanowi jedność typu w rozmaitości form całego królestwa zwierzęcego. Wszystkie formy organów zwierzęcych wypływają z jednéj formy typowéj, i są tylko jéj modyfikacją. Trąba słonia jest przedłużeniem nozdrzy; dziób ptaka jest zębem jedynym; pod skórą boków kazuara znajdujemy ślady skrzydeł; płód człowieka przed przyjściem na świat tyle ma w głowie punktów ossifikacji, czyli centrów kostnych ile ryba ma kości w głowie itd. Gąsiennica pochodząca z motyla i kijanka mająca postać ryby i przemieniająca się w żabę, są oczywistym dowodem przemian form mniéj doskonałych do doskonalszych. Natura pracuje ciągle temi samemi materjałami, cały jéj geniusz jest w zmianie formy materji (str. 170).

Taką samą jedność typu odkrył geniusz Goethego w królestwie roślinném; a prawdopodobnie przyszła chemia odsłoni go w ciałach nieorganicznych. Typ ten nakoniec znajduje się w całéj kreacji świata, bo ostatecznie atom jest téj kreacji typem.

Przeciwko téj teorji stopniowych przemian od stworzeń mniéj doskonałych do doskonalszych, powstali Cuvier i Flourens. Nikt nie widział, aby jaki gatunek zwierząt się odmienił. Słoń Arystotelesa jest słoniem dzisiejszym. Szkielet człowieka dzisiejszego jest zupełnie taki, jak szkielet człowieka starożytnego Egiptu. Wnętrzności ziemi nie zachowały śladów stopniowych zmian jednego gatunku w drugi. Cuvier przypuszcza, że po każdéj katastrofie potopowéj istoty organiczne ginęły i nowe na ich miejsce się pojawiały, i że po ostatnim potopie pojawił się dopiero człowiek. Mieszanie się gatunków sprowadza wprawdzie rodzaj pośredni, ale ten nie rozpładza się daléj i osobnego gatunku już tworzyć nie może. Mądre w tém urządzenie natury, która chce utrzymania gatunków. Odmiany gatunku stanowią rasy, n. p. rasy bydła, rasy ludzi. Wszakże rasy mają granice swoje w gatunku, na włos nie wychodzą za obręb gatunku, do którego należą, aby zajść w gatunek drugi, wyższy. Rasy mogą się mnożyć, zmieniać, jak kwiaty hodowane sztuką ogrodników w Harlem, ale nigdy gatunki.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

Wystrojony zatem etykietalnie zapukał do drzwi doktora.

Przypadek chciał, że pani Helena z Papacińskich w chwili tego zapukania była właśnie najbliżéj drzwi i sama pospieszyła otworzyć, sądząc, że to ktoś obojętny, któremu bez ceremonji ukazać się było można.

Gdy spostrzegła Pilskiego, nie była w stanie utaić niezadowolenia.

— A!... pan sąsiad... — rzekła, — witam pana... ale... mąż mi mówił, że pan dopiéro jutro będzie na nas łaskaw...

— To prawda pani dobrodziejko, — odrzekł z grzecznym ukłonem Pilski, — zapowiedziałem się na jutro, i dlatego umyślnie przychodzę dzisiej...

— Umyślnie?... — powtórzyła konsyljarzowa.

Tak jest pani, — tłómaczył się daléj nasz bohater, zapowiedziana wizyta dawałaby do myśleni, że mam pretensję do ceremonjalnego przyjęcia... a mnie miło będzie, jeśli państwo pozwolą, zawiązać z państwem życzliwe sąsiedzkie stosunki, ale pod warunkiem, że wszelka ceremonjalność wykluczoną z nich będzie, że mnie szanowni sąsiedzi zechcą przyjmować tak jak się przyjmować zwykło ludzi mieszkających pod jednym dachem. Jeżeli więc przeszkadzam, raczy mi pani dobrodziejka powiedzieć otwarcie, a natychmiast wrócę do siebie i przyjemność zawarcia bliższéj znajomości do innéj odłożę pory.

Nie było to pani Tuckiéj bardzo na rękę przyjmować sąsiada w takiéj chwili, ale i odprawić go nie widziała sposobu. Mógłby się obrazić i z człowieka który powinien był zapisać się do rzędu jéj wielbicieli stać się przeciwnikiem i niechętnym. Względy przeważne kazały go zatem oszczędzać, i pani Tucka musiała go zaprosić do bawialni, poświęciwszy tylko kilka ciężkich westchnień na intencję zajęć gospodarskich, które jéj nie pozwalały być zawsze wystrojoną i gotową do przyjmowania odwiedzin.

Jest to, bardzo naturalną zresztą właściwością osób rozmiłowanych we wzdychaniu, — do jakich, jak nam wiadomo, należała pani konsyljarzowa, — że nie mają wielkiéj wymowy ani upodobania w dłuższych pogadankach. Gdyby się zagadały, rzecz prosta, że nie miałyby kiedy wzdychać ani téż słuchać westchnień dobywających się z innych piersi, na ich intencję i pod ich adresem. Mocno przekonana, że posiada potęgę podbijania serc męskich, pani Tucka nie przypisywała jednak téj potęgi umiejętności zachwycania dowcipem, do którego nie miała pretensji, ani zdolności imponowania wiedzą, gdyż z nauką w ogóle zostawała tylko w stosunku powinowactwa jako małżonka uczonego człowieka. Arsenał podbójczy, którym piękna Helena Babiéj wyspy zdobywała sobie rozwzdychanych Parysów, składał się więc przedewszystkiem z wdzięków in natura z małą przymieszką sztuki, a daléj ze stroju i z obfitego stołu, który rada zastawiała przed gośćmi nie mającymi krótkiego oddechu. Co do stroju pani Tucka lubowała się w kontrastach barw, ubranie jéj wyglądało niekiedy jak kartka z romansu Wiktora Hugo, który, jak wiadomo, macza swe pióro w kałamarzu pełnym antytez. W różowéj sukni, żółtéj mantylce, żółtym stroiku na głowę i niebieskich rękawiczkach, przypominająca rajskiego ptaka, czuła się niezwyciężoną i z dumą spoglądała na mężczyzn, którzy na jéj widok objawiali swój podziw i uwielbienie długim i głośnym okrzykiem:

— Ach!...

Niezwyciężoną również czuła się, gdy zastawiwszy stół wszystkiem, czem przepełnioną była zawsze jéj śpiżarnia, a mianowicie rzeczami najpożywniejszemi, najesencjonalniejszemi, zdolnemi bardzo prędko nasycić bodaj dwudniowym postem zaostrzony apetyt, z miłym uśmiechem i pełnym uprzejmości ruchem ręki mówiła nawiedzającemu jéj progi:

— Niechże pan będzie łaskaw... kawałeczek... odrobinkę.

Niestety! na przyjęcie Pilskiego cały ten arsenał podbójczy wystąpić nie mógł. Wdzięki in natura były wprawdzie, ale to właśnie było nieszczęście, że może aż zanadto były in natura, że sztuka w najmniejszéj odrobinie nie dodała im retuszu. Ubiór był, jak to

powiadają w Galicji, taki „pojedynczy,“ że aż strach. Jakaś lekka popielata sukienka, z takiéj saméj materji kaftaniczek, czepeczek od dnia powszedniego, i nic więcéj, żadnéj antytezy, żadnéj sprzeczności w kolorach, żadnéj oryginalności, nic krzyczącego i krzykiem samym wzbudzić mogącego zdumienie. Co do śpiżarni ta była pełna jak zwykle, ale niepodobna było zostawić gościa samego i iść do niéj po wiktuały, a służąca wysłana za sprawunkiem do miasta nieprędko powrócić miała.

Wszystko to razem smutnemi przeczuciami przejęło doktorową. Czuła, że sąsiad wszedł do jéj domu niby do bezbronnéj fortecy, i że jeżeli zechce będzie mógł wyjść spokojny, zamiast jakby uprzejma gospodyni pragnęła, serce swe jeńcem u niéj pozostawić na dość długo.

Przewidując taką smutną porażkę, pani Tucka stała się jeszcze mniéj wymowną jak była zwykle.

Pomimo choroby, o którą go oskarżał doktór Tucki, Pilski był człowiekiem rozmownym i umiejącym się znaleźć w towarzystwie, tu jednak czy się małomównością gospodyni zaraził, czy też taki plan sobie ułożył, znając z opowiadań Kazi osobę, którą odwiedzał, po wypaleniu potoczystem wstępnéj oracji, przytoczonéj przez nas powyżéj, od chwili wejścia do bawialni i zajęcia wskazanego przez konsyljarzową miejsca w fotelu, stał się nagle lakonicznym jak spartanin, prowadził rozmowę urywaną, składającą się z samych kilkuzgłoskowych zaledwie frazesów, na które gospodyni uprzejmem potakiwaniem lub zaprzeczaniem odpowiadać raczyła.

W czasie téj rozmowy patrzył w ziemię. To ośmieliło panią Tucką, że go obserwować zaczęła.

Zaczęła obserwować i po krótkiéj chwili zdawało jéj się, że usłyszała lekkie, niby muśnięcia słowiczego skrzydła — westchnienie.

Z początku nie wierzyła sama sobie, wsłuchała się więc pilniéj, i tą razą nie mogło już być wątpliwości...

Egzemplarz wzdychał, wzdychał naprawdę, wzdychał cicho, poetycznie, nieśmiało, — ale wzdychał.

Pani Tucka uczuła dumę tryumfu, spostrzegła, że zwycięża nawet bez swego bojowego rynsztunku, bez różnobarwnych sukni i zastawionych pożyczanemi potrawami talerzy.

W dalszéj obserwacji udało się pani Tuckiéj podchwycić w przelocie kilku ukradkowych spojrzeń sąsiada, wyraźnie na nią skierowanych.

Te spojrzenia usunęły ostatni cień niedowierzania, jeżeli jeszcze jaki w jéj duszy pozostał, — oczywiście Pilski dawał jéj niemi poznać, że nie była dla niego obojętną, że wszystko to, co prawiono o miłości jego dla panny Izy było bajką jeżeli nie bezwzględnie, to przynajmniéj od téj chwili.

A gdy jeszcze na odchodnem, odwzdychawszy długi kwadrans, w czasie którego wszystko co sobie powiedzieli dałoby się spisać na jednéj kartce bez żadnéj pomocy stenografa, — a gdy jeszcze po téj rozmowie wywzdychanéj czy po tem wzdychaniu udawanem za rozmowę Pilski powstał, ujął jéj rękę, poniósł ją do ust i dłużéj niż przyzwoitość wymagała a nawet pozwalała, w bliskości owéj krynicy westchnień zatrzymał, pani Tucka była już tak pewną, że sąsiad, uchodzący za narzeczonego panny Izy, jest jéj niewolnikiem i poddanym, że gdyby było tego potrzeba, byłaby gotowa przysięgą na wszystkie legendy krakowskie, na fundamenta Babiéj wyspy, na niewyczerpalność swojéj śpiżarni, na coby kto chciał wreszcie, stwierdzić to swoje przekonanie.

Pilski wyszedł, odprowadzony aż do drzwi, zapraszany najuprzejmiéj aby o sąsiadach pamiętał, a we drzwiach samych ujął raz jeszcze rączkę pani Tuckiéj, i ucałował ją powtórnie z również ostentacyjną serdecznością jak poprzednio.

Taka demonstracja we drzwiach nie mogła ujść niepostrzeżona na Babiéj wyspie. O wizycie Pilskiego u doktorowéj wiedzieli wszyscy i wiele osób z niewymowną ciekawością i niepokojem oczekiwało jéj końca. Kazia ukryta za bramą od ulicy, co chwila wsuwała główkę do furtki, ażeby się przekonać czy gość od pani Tuckiéj nie wychodzi jeszcze, — toż samo robiła ciocia Petronela od podwórza, a drzwi mieszkania panien Rękalskich miały dnia tego widoczną febrę, bo się uchylały i zamykały co chwila, a za każdem uchyleniem się ukazywało się o stopę po nad klamką, coś bardzo podobnego do panieńskiego noska, nie możemy jednak zaręczyć czy to był autentycznie nosek panny Izy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kobiecie.

Kobieto, — kiedyż słowy tkliwemi,
Tuląc dziecinę w słodkich pieszczotach,
Śpiewasz mu piosnkę o naszéj ziemi,
O naszych ojców czynach i cnotach:
Duch szczęścia zawisł nad dziecka czołem,
Boś ty dla niego — matką, — aniołem.

Lecz kiedy dziecię od ciebie zdala,
Kiedy matczynéj nie zna pieszczoty,
I tylko grono sług je okala,
A nikt nie uczy miłości, cnoty:
Próżno otaczasz dziecię sług kołem,
Tyś mu nie matką ani aniołem.

Kobieto, kiedy na łonie twojém
Oprze się męża-wygnańca głowa,
I strudzonego pracą i znojem,
Krzepią miłości, nadziei słowa:
Świat jest dla niego płaczu padołem,
Lecz tyś pociechą, — tyś mu aniołem.

Lecz gdy twych dzieci ojciec, z daleka
Za tobą, — ziemią tęskni ojczystą,
A ty się bawisz wesoła, — lekka,
Powiedz czy duszę masz wtedy czystą?
Czy staniesz przed nim z pogodném czołem?
Powiedz czy jesteś wtedy aniołem?

Kobieto, kiedy twa dłoń gorąca,
Ujmie gorętsze młodzieńca skronie,
A twa źrenica ogniem paląca,
Przedrze się w duszę i tam utonie:
Wtedy on bije przed tobą czołem
Boś ty dla niego szczęściem, — aniołem.

Lecz gdy zalotnym wabiąc uśmiechem
Jutro, przysięgi dzisiejsze złamiesz,
Wtedy uwielbiać ciebie jest grzechem,
Bo ty najświętsze uczucia kłamiesz;
I innem wtedy nazwę cię mianem:
Tyś nie aniołem, — ale — szatanem.

Wrocław 17. 3. 1871.

Władysław St...

Michałowi Hertzowi

(w albumie).

Miałem sen dziwny... O! wybacz sny moje,
Bo cóżem winien że miewam widzenia?
W tym śnie, widziałem oblicze z kamienia,
Serce kamienne i duszę kamienną...
I precz odegnać chciałem marę senną,
Bo owo serce z głazu — było twoje!...

Widziałem potém, jak zszedł anioł pychy
I tworzyć pieśni dla zysku ci kazał...
I zamykały się lilji kielichy,
Jakby z obawy, by ten sprosnéj chwały
Śpiew, białéj szaty ich kwiecia nie zmazał....
A ptaszki w gaju z boleści konały!

Lilije więdły, konały słowiki,
A ty śpiewałeś sławę Teutonów
W około grzmiały na cześć twą okrzyki:
„To król harmonji, to miljoner tonow!“
A ty z monarszo-bankierską szczodrotą,
Głodnym — roniłeś piosenki — jak złoto!

Nagle w mych oczach zrobiło się ciemno...
Serce się dziwną ścisnęło żałobą,
Widziałem przepaść w którą ty leciałeś!

Wtém się ocknąłem... Patrzę, a przedemną
Stoi mój anioł — lecz nie sam, bo z tobą...
A ty mi do snu piosenkę śpiewałeś!

A piosnka owa była takiéj treści,
Że nie spostrzegłem zbudzony — od razu,
Czyś ty do tego podobny obrazu,
Na który we śnie patrzałem — w boleści.

A tyś wciąż śpiewał... I nuta słowika,
Co drzew się czepia i wśród kwiatów słania
Były w tym śpiewie, — aż rajska muzyka
W jeden się splotła akord — zmartwychwstania!...

I sam pytałem siebie pełen trwogi:
Czy sen mój dziwny był tylko złudzeniem,
Czy pogrzebanych dawno chwil wspomnieniem,
Czy snem przestrogi?

Wł. Bełza.

Z Moich Wspomnień.

O życiu towarzyskiem w Warszawie

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Dalszy ciąg).

Czwartkowe wieczory u Kazimierzostwa Wójcickich.

Do najprzyjemniejszych chwil w Warszawie, zaliczam spędzone w domu pp. Wójcickich. Szanowny autor Gawęd, pan Kazimierz Władysław i w ustnéj rozmowie nader miłym jest gawędziarzem. A zacna małżonka jego, pani Hanna — siostra Dominika Magnuszewskiego — łagodna, dobra, szczera, z wdziękiem niewieścim, prawdziwą przedstawia nam Polkę. Wszystko téż w ich domu nosi szczero-polską cechę — jakoby dawny po dziadach zabytek.

Była tam i stara, poczciwa Nowakowska — krzątająca się ciągle koło dziatwy, w pokojach i kuchni — rada witająca gościa. Był tam stary Jan, niby gdéra trochę, a serdecznie do całéj przywiązany rodziny. — Odprowadzał mnie raz późnym wieczorem do domu. Nagle zobaczyliśmy łunę na niebie. Straż ogniowa z łomotem, z pochodniami przez ulice pędziła, a lepszéj i skorszéj nigdzie nie ma zapewne. Przystanęłam... a potém szłam spiesznéj. Gdy stary do domu powrócił, opowiadał o przygodzie naszéj, dodając: „I pani Wilkońska ma boja, istnie jak nasza pani. Już to wszystkie niewiasty mają boja!“ —

Wszyscy literaci — ktokolwiek kiedy co napisał — znakomici, znani i nieznani — wszyscy najpierwéj w progi pana Kazimierza przychodzą. Z dalekich stron przybyli, z ugruntowaną już sławą i zasługą w kraju; początkujący, z maluczką niekiedy próbą, wszystkich tam napotkać można. Już to, że pan Kazimierz Władysław Wójcicki jest znanym od lat czterdziestu, jako badacz i gorliwy pracownik na niwie piśmiennictwa polskiego, już téż, że od lat dwudziestu kilku jest głównym redaktorem Biblioteki warszawskiéj.

Bywali mistrze pędzla i dłóta; mistrzowie tonów; artyści dramatyczni: Królikowski, Rychter, Komorowski; urzędnicy wyżsi, mecenasi, doktorzy dawni wojskowi; wielkich zasług i nauki wielkiéj ks. Benjamin Szymański, przełożony kapucynów a późniejszy biskup podlaski, znany i za granicą z pracy swojéj znamienitéj: O klasztorach; obywatele wiejscy, jak to pp. Komierowscy, Zielińscy, ks. Jeremi Woroniecki, hr. August Krasiński, Prot Lelewel, Lassoccy, Parzelscy i t. d.

Jednéj zimy ożywiali nasze towarzyskie zebrania panowie Kraszewscy — ojciec i brat znakomitego pisarza: pan Jan nadzwyczaj przyjemny, naukowy, pełen życia, autor prac kilku, mianowicie też o Gubernii Pińskiéj — i pan Kajetan, znany jako zdolny kompozytor w świecie muzycznym.

Jak tylko dłuższe, jesienne zawitały wieczory, państwo Wójciccy przyjmowali w czwartki, i mnóstwo na tych wieczorach zbierało się osób.

Przed adwentem tańczono nieraz aż po północy. Gdy rozpoczął się adwent, wieczory czwartkowe przemieniły się całkiém w literackie. Przeczytano artykuł jaki, który niestety! pomazała cenzura nieubłagana, albo zabiła całkiém; jaką śliczną poezją, która w Warszawie drukowaną być nie mogła; ustęp piękniejszy ze świéżo wyszłego dzieła; korespondencje różne, z różnych stron kraju, poważne i charakterystyczne, ważne, ciekawe, dziwaczne lub zabawne. W adwencie zwykle tylko ściślejsze zbierało się kółko, a czas bardzo mile i pożytecznie uchodził.

Od św. Trzech króli czwartkowe wieczory stawały się licznemi, niekiedy i bardzo licznemi, bo po siedmdziesiąt, ośmdziesiąt i więcéj bywało osób. Brzmiał

fortepian, śpiewano, a potém tańczono zawsze. Miła gosposia, uśmiechnięta, rada wesołéj drózynie, pohasała także. I sam pan Kazimierz, ucieszony ochotą pod swoim dachem, nieraz w mazurowéj wybrany figurze, raźno po szklistéj sunął posadzce.

W dalszych pokojach grano w gierylasa, preferansa, wista. A w buduarze pani domu, ładnemi zastawionym fraszkami, z dużem oknem weneckiém, ozdobném, umajoném południowego nieba drzewkami i świeżém kwieciem, chętnie do swobodnéj, poufnéj wymykano się gawędki.

Przyjęcie — z wyjątkiem imienin, ostatków, wielkiéj-nocy — było skromne: herbata, bułeczki obłożone szynką lub pieczenią, pączki, sucharki — jak to zwykle bywa na tygodniowych wieczorach w Warszawie.

Gdy wielki post nastąpił, znowu li czysto literackie zawitały wieczorki, a razy parę urządzono i teatr amatorski. Pomiędzy innemi odegrano: Fabrykant powozów J. Korzeniowskiego i Nikt mnie nie zna A. Fredry. W roli Baltazarka przypominam sobie sławnego dziś malarza i rysownika Kostrzewskiego, jako niepośledniego komika.

Marsz Kossutha, wykonany na fortepianie, uwerturę zastąpił. A pomiędzy aktami posłyszeliśmy śpiew na zawsze piękny: Gdyby orłem być!

A jakiż to tam był ruch wtedy i krzątanina! Jakichże to starań dokładały mamy i ciocie!

— Pani dzisiaj nie przy gierylasie? zapytałam pułkownikowéj Zdzitowieckiéj, biegnącéj z szarfą błękitną w ręku.

— Jakżeżbym mogła oddawać się przyjemności własnéj — uśmiechnęła się, poruszając głową — mając córkę artystką! To wkłada obowiązki wielkie.

Bo właśnie córka jéj występowała w Fabrykancie.

Pewna wszelako, że malutkie wieczorki poufne, w cztery, w pięć osób, najserdeczniéj pozostały mi w pamięci.

— Polciu, chodźmy do Wójcickich! zawołał August nieraz z pokoju swojego, od stolika przy którym klecił ramotki.

A byłam gotowa zaraz, porzuciwszy pióro, igłę lub książkę.

— Gdy przyjdzie pan Lenartowicz, pan Wolski, lub który inny z tych panów, — polecił August służącemu — to powiedz, żeśmy poszli do państwa Wójcickich i niech przyjdą za nami.

Bo na takiéj z niemi żyliśmy stopie.

Powitani serdecznie, zasiedliśmy przy kominku w bibliotece, pięknéj a bogatéj, która zarazem była i pracownią pana domu. Pan Kazimierz siadał zwykle naprzeciw ognia, z pogrzebaczką żelazną w ręku, obok niego August z fajeczką. Ja na kanapie pod ścianą, chroniąc się przed płomieniem, a przy mnie pani Hanna. I nuż pociągnęła gawędka, która z równém ożywieniem i zajęciem godzin parę potrwała. Niekiedy przybył ktoś więcéj, który z poetów, ś. p. Lisowski historyk, Julian Bartoszewicz znakomity historyk, dziś już także, niestety! świętéj pamięci, a przedwcześnie zabiła go praca i cierpienie.... zacny sędzia Sławianowski, przyjaciel dawny pana domu; Fryderyk Skarbek, albo który z współredaktorów Biblioteki warszawskiéj.

W roku 1845 pragnęli młodsi literaci — nasze codzienne stanowiący kółko — uczcić dzień św. Kazimierza, i jaką niespodziankę szanownemu solenizantowi wyprawić.

— Krakowskie wesele! proponował Włodzimierz Wolski.

— Kadryl złożony z osób, wchodzących do klechd i gawęd! — wymówił Lenartowicz — a ja zaraz będę Rybałtem.

— Teatr amatorski!

— Kantatę! Kwartet! — ozwał się trzeci i czwarty.

— To wszystko przeminie! — odparł August — dźwięki przewioną i pamięć się zatrze. Ale złóżmy solenizantowi trwalszą pamiątkę: n. p. puhar srebrny.

— Puhar! puhar! zgoda na puhar! — zawołali jednogłośnie wszyscy.

Zatém składka rozpoczęła się zaraz, z którą każdy chętnie podążył.

Z literatów pamiętam następujących: Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski, Bogdan Dziekoński, Aleksander Niewiarowski, Antoni Lesznowski, Józef Kenig, Józef Ćwierciakiewicz, Julian Zacwilichowski, August Wilkoński, Ludwik Norwid, Pathie i t. d. Nadto przyłączyło się kilku obywateli wiejskich, a pomiędzy tymi Józef Komierowski, autor „Augusta z Kości.“

Puhar piękny, wykonanym został w złotniczéj pracowni Malcza. Na pokrywie zrywa się orzełek do podlotu. Rzeźby wyrobione są sztucznie i ze smakiem. A napis cały stanowią wyrazy:

Rzeczy ojczystych pisarzowi

K. W. Wójcickiemu

w dniu imienin 4go marca 1845 roku.

W Warszawie obchodzą zwykle imieniny w przedwieczór dnia święta. Całe więc grono składkowe zebrało się u nas, ażeby pospołu udać się na Królewską ulicę do pałacu Łubieńskich — gdzie państwo Wójciccy mieszkali. Czekaliśmy dość długą chwilę na Lenartowicza — a miał do solenizanta przemówić. Nie nadszedł — więc pojechaliśmy bez niego, przypuszczając, że nas wyprzedził, niewiedząc o spólnéj w wyprawie. I tak się téż stało, bośmy go już zastali w pierwszym pokoju, czekającego na nas. A widocznie był cierpiący dużo.

Przywołano gospodarza. Nadszedł Lenartowicz przemówił serdecznie Ofiarowano puhar... i zacny solenizant aż do łez się rozrzewnił.

Salon był już przepełniony gośćmi: rodziną i przyjaciołmi. — Samych literatów zebrało się w dniu tym czterdziestu! —

Wniesiono zdrowie pana Kazimierza, rzeczy ojczystych pisarza! Małżonki jego i dzieci.

Poczém August ukląkł i zawołał:

— Ku czci Dominika Magnuszewskiego!

Wszyscy toast powtórzyli. Młodsi przyklękli także. A nikt nie przeczuwał, że poeta wtedy już nie żył — bo dopiero za trzy dni późniéj smutna o zgonie jego wiadomość nadeszła, która żalem nieutulonym kochającą przejęła rodzinę. A podzielali go wszyscy, którzy zdolności narodowe miłują i ocenić umieją. Bo Dominik Magnuszewski do naszych znakomitych zależał poetów.

Po spełnieniu toastów zabrzmiał fortepian z towarzyszeniem skrzypców, tańcem polskim — i liczne pary pociągnęły, niby barwna wstęga, przez mieszkanie całe — zawracając zręcznie, z powagą a układnie, istnie po dawnemu. Stary Jan stał na boku, i aż mu żgliła żrenica, że panisko kochane tak wesoło święto swoje obchodzi. I sędziwa Wojciechosia przypatrywała się z uśmiechem, ze złożonemi rękoma — w czepcu z pąsową wstążką.

Po tańcu polskim dziarski nastąpił mazur — i tańczyliśmy aż do dnia białego.

Śmierć Dominika Magnuszewskiego — śmierć na tułactwie po roku 1831, jakkolwiek, że w bratniéj Galicji, to wszelako nie na łonie rodziny, którą kochał, i do któréj tęsknił, nadzwyczajną boleścią dwie jego siostry dotknęła. Tém więcéj, że nastąpiła niespodzianie zupełnie — że weseliły się wtedy, gdy już legł w grobie!.

— August znać w dziwném natchnieniu wzniósł ów toast dla Dominika — wymówił pan Kazimierz w dni kilku po odebraniu wiadomości żałobnéj — a jeszcze klęczący!

— Może duch zmarłego wieszcza unosił się wtedy nad nami... — odrzekłam, nieco tą uwagą rozmarzona.

— Ha!... A wiesz pani, że Dominik był spirytystą i wierzył w duchy? Opowiadał nam z wiarą całą, że siedząc w nocy przy biórku, tworzył i pisał. W tém dreszcz przejął go nagły. Mimowolnie podniósł oczy, spojrzał.... blisko niego biała stanęła postać. Poznał matkę, którą kochał bardzo.. miała wyraz twarzy anielski, była uśmiechnięta... Porwał się, wyciągnął ręce... Widzenie znikło — i na wpół zemdlony upadł na krzesło. — W dni kilka potém odebrał wiadomość, że matka umarła.

— Słyszymy nieraz o podobnych wypadkach.

— Czy pani wierzysz w ukazywanie się duchów? zapytał mnie obecny Bogdan Dziekoński.

— Nie mam bezwzględnéj wiary w duchy, ale jéj téż i bezwzględnie nie odpycham wcale. Nie należę do mistyków, lecz wyznaję szczerze, że mnie ten właśnie miztycyzm szczególniéj pociąga.

— Jak bardzo wielu, lubo że nie wszyscy do tego przyznają się radzi. Wszystko, cokolwiek niełatwo wytłomaczyć sobie potrafimy, wrodzony dla natury ludzkiéj ma urok.

— Nazywają to chorobliwością umysłu, rozgorączkowaną fantazyą. Ale, przypuśćmy, że podobne wypadki, jak ś. p. Dominika Magnuszewskiego, bywają wynikami rozgorączkowania władz umysłowych, to zkądźeż właśnie takie wzięło się widzenie? — Jeżeli powiemy: było to przeczucie! — To wszakże i przeczucie jest także czemś nadzwyczajném. Zatem, są dziwy na niebie i na ziemi o jakich ani się śniło filozofom naszym!.

— A których i najmędrszy myśliciel nie chciałby odgadnąć i wyrozumować... bo nie potrafi!

Bogdan Dziekoński — obok wielkiéj nauki i rozumu był marzycielem — był mistykiem — a dowiódł tego i późniéj przylgnąwszy całą duszą do Towianizmu.

— Toćże i nasz Czacki — zagadał jeszcze Wojcicki — którego nikt zapewne o marzycielstwo i mistycyzm nie posądziłby nigdy, także miał ciekawe widzenie. A było to w południowéj godzinie, przy jasném świetle słonecznem. Stolik, przy którym pisywał zwykle stał przy oknie. Siedział przy nim właśnie i pisał — gdy nagle padł cień na papier. Spojrzał w okno — i zobaczył poza niem przyjaciela od serca: Ignacego Potockiego — z którym zawsze jednych był myśli i uczuć. Porwał się z radością i wybiegł, by kochanego powitać gościa. Nie było nigdzie powozu — i nikogo nie widział. Obiegł dom w koło. Zawołał na służbę i o pana Potockiego dopytywał. Nikt go nie widział. — „Jakto! Przecież przybył! Na własne widziałem go oczy!“ — Upragnionego gościa jednakże nie było nigdzie. A w dni kilka późniéj nadeszła wiadomość o jego zgonie.

Opowiadanie to dziwne na Dziekońskim zrobiło wrażenie.

Dominik Magnuszewski urodził się r. 1809, w Warszawie, z ojca Hiacynta i matki, Marji z Borakowskich. Miał więc lat trzydzieści-sześć dopiero, gdy umarł. — Będąc jeszcze w Liceum warszawskiem napisał spólnie z Zygmuntem Krasińskim powieść historyczną: Władysław Herman i dwór jego. Późniéj wydał komedje: Stary kawaler; Zdzisław, czyli skutki płochości, — grane obiedwie w teatrze warszawskim. — Daléj napisał wierszem dwa dramata: Hieronim Radziejowski i Władysław biały książe Gniewkowski. — Guy du Faur czyli pacta conventa, ustęp historyczny. — Zemsta panny Urszuli, powieść z niezrównaną napisana werwą i jaskrawością. — Niewiasta polska w trzech wiekach: Małgorzata z Zembocina — Barbara Radziwiłłówna Gasztoldowa — i Zofija Grabowska, zaślubiona Stanisławowi Augustowi. — Dramat w naturze, utwór na wskroś poetyczny. — Bekwark, lutnista. — Rozprawy o dramatyczności — i wiele nader wdzięcznych poezji. — Do mnie przemawiał szczególniéj wiersz: Do sióstr moich — z którego tu zwrótkę zapiszę:

Jedna biedna tylko struna,
Co nam spaja pierś tułaczą,
Gdy gdzieś nieszczęść bije łuna —
Grób — a przy nim dzieci płaczą...
Wtedy nasze łzy to moje —
Bo do płaczu jest nas troje.

Och! Świat rozdzielić może — stosunki — okoliczności — uśmiech losu... ale, gdy przyjdzie zapłakać to pewnie i połączą się serca! —

Prócz wspomnianych, pozostawił Magnuszewski dużo jeszcze rzeczy niedokończonych — niestety! — Z tych drukowane były: Pan Kaniowski w Niezapominajkach Karola Korwela. — Kamil, ułamek z dramatu, w Bibliotece warszawskiéj. — Rozbojnik salonowy i t. d.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Maj!...

Cóż to za uroczy wyraz! I śpiew słowika, i wdzięczne tony pastuszéj ligawki, i woń balsamiczna tysiąca kwiatów, i łąk szmaragdy, i wód szemrzenia i klekot bocianów, — wszystko, wszystko zamknęło się w tym jednem czarodziejskiem słowie:

Wiosna!

Iluż to poetów pierwszo i ostatnio rzędnych, suszyło sobie głowy, nad tematem tak wdzięcznéj i ponętnéj treści?...

Wiosno, wiosno — z nowem leciem
Przystroiłaś się w zieloność,
Ubarwiłaś łąki kwieciem
I......

tu zabrakło rymu i myśl niedokończoną zastąpił wieszcz kropkami pewny, że „czuły słuchacz pięknéj pieśń jego, w duszy swéj dośpiewa!“

* * *

A propos śpiewu... Od niejakiego czasu miasto nasze zamieniło się w rajski ogródek... Coraz to nowe a wdzięczne wychodzą na świat kompozycje: to Hertza, tego słowika gajów wielkopolskich, — to czasem zasłyszeć można skowronkową nutą piosenek Półczyńskiego, który tak mile dał się poznać z utworu swego p. n. „Polskie dziewcze“, — to znowu doleci od gotyckiego sklepienia świątyni pańskiéj poważny dźwięk muzyki Bolesława Dembińskiego zdolnego a nie dosyć jeszcze ocenionego u nas kompozytora...

A w powietrzu słychać już pierwsze tony opery, tak jest opery, wzrosłéj na tutejszym gruncie! Widzę jak niedowierzająco kręcicie głowami, poważni panowie poznańczanie... Zostawię was w tém błogiem powątpiewaniu, aż do chwili powrotu „Teatru Polskiego“ z Gniezna, abyście dosłyszalnie przekonali się, że miałem powód do zaostrzenia waszéj ciekawości...

* * *

Co się tyczy „Teatru“ temu, jak dowiadujemy się wcale nie szczególnie idzie w grodzie św. Wojciecha... Nawet patron, pod którego wezwaniem rozpoczęła scena polska gościnne przedstawienia w dniu słynnego na cały świat chrześciański... jarmarku, nie zdołał przekonać wiernych, o ważności téj instytucji.

Ale żart na bok... Przy debatach nad mającym się wznieść gmachem teatralnym, tym pomnikiem ofiarności i patrjotyzmu wielkopolan, należy przedewszystkiem pomyśleć o sposobie zabezpieczenia obecnie egzystującéj sceny, aby nie sprawdziło się na niéj owo smutne przysłowie: „nim rosa zeszła, słońce oczy zjadło.“

* * *

Zielone składki leżących na moim stoliku książek, raz jeszcze przypomniały mi się wiosnę...

Każdy ze śmiertelnych ma na tym padole choć jedną chwilkę szczęścia, choć jeden dzień majowy... a biednym autorom, pomyślałem, los i téj jednéj chwili pozazdrościł.

Bo proszę, kto u nas książki czyta?

Pensjonarki, które z wieku i urody wstręt by mieć powinny do wszelkich archeologicznych poszukiwań, — przerzucają stosy dawno już ad acta złożonych romansów i romansideł — i niemi niepotrzebnie zaprzątają główki w których wielu, wielu jeszcze potrzebniejszych sprzętów nie dostaje... Młodzież złota nie czyta wcale... Karty i wino — wino i karty, jedynem są jéj zajęciem. Aż przykro patrzyć, na tych młokosów, skaczących w około zielonego stolika i rzucających bez troski grosz ojcowy, krwawą zdobyty pracą. I mimowoli nasuwa się na myśl zwrotka z wiersza Odyńca:

Wiecie jaką cyrk wrzawą
Grzmi, na widok pajaca ..
Toć i wam świat da brawo:
Caca dziateczki, caca!

Tacy poeci jak Komar mrą z głodu a wy bawicie się, drwicie z ludzi i świata, póki świat nie zadrwi z was boleśniéj i okrutniéj może ..

Spojrzcie na tego żebraka z siwiejącą już brodą, ze szkiełkiem w oku, wyciągającego na ulicach Poznania wychudłą rękę, która niegdyś złotem szafowała, po jałmużnę do przechodniów... podobny los was czeka!

* * *

— Wstąpił do piekieł, — po drodze mu było... pomyślisz miły czytelniku, czytając ten zlepek różnorodnych faktów i myśli, który podobało się Redakcji nazwać kroniką... Miał nam mówić o książkach — a wypalił filipikę na karciarzy. Wracam więc zaraz do rzeczy, — a wprzód zaznaczę jeszcze, że we krwi gorącéj maczając pióro, na całą młodzież rzuciłem anathema... Szczęściem tak nie jest... są wyjątki, są piękne przykłady... ale ich tak mało, że doprawdy toną w ogóle martwym, błędnym jak owce a upartym jak...

Wszak o książkach miałem wam mówić?

Ile razy sięgnę pamięcią w dziecinne lata moje, tylekroć staje mi przed oczyma postać osiwiałego żyda, z księgami pod pachą, z księgami na barkach, — tak pięknie opisana przez Syrokomlę, — i żal mię bierze, że już ten typ ulicznego księgarza stracony bezpowrotnie. A dziś przydałby nam się bardzo... Dziś:

Aksamitem i złotem świetnieją księgarnie,
Aksamitna publiczność po książki się garnie...

i odchodzą dzieła o aksamitnych okładkach i aksamitnych słowkach... A książka, jak „Ułomności nasze i społeczne“ pana Jackowskiego, szorstko lecz poczciwie napisana, sterczy na półce jakby urągała obojętności ziomków... Gdzieindziéj dzieło podobnéj doniosłości dwóch najmniéj w tym czasie doczekałoby się wydań... U nas pierwsza edycja prawie nietknięta...

Nie ma komu zająć się kolporterką... W dawnych czasach kolporterami wiadomości politycznych i nowości księgarskich byli żydzi... Przeciskali się oni do pałaców i chatek, zachwalali towar i nierzadko pozbywali go na korzyść duchową tych którzy inaczéj dojść do niéj nie umieli czy niechcieli.

Jeszcze w Warszawie przechowało się dwa czy trzy egzemplarze podobnych żydów księgarzy; Kraków liczy ich więcéj, a we Lwowie, zmarł niedawno poczciwy Zelman Igiel jedyny typ swojego rodzaju księgarza, bibliomana i bibliografa, o którym mówi Syrokomla, że: „czasem i w Bentkowskim pomyłkę dopatrzy.“

Żal że u nas ich nie ma, a przydaliby się bardzo.

* * *

Na czele, naszéj notatki bibliograficznéj, kładziemy nazwisko zasłużonego na polu ekonomicznem pisarza Józefa Supińskiego, którego dziełko pod tyt: „Siedm wieczorów, opowiadanie z życia społecznego“ polecamy naszéj braci rzemieślniczéj i bibliotekom towarzystw przemysłowych. — Daléj, zapisujemy ukazanie się pierwszego zeszytu dzieła Justusa Liebiga pod tyt: „Wiedza zastosowana do rolnictwa i fizjologii“; sam tytuł wskazuje kogo to dzieło przedewszystkiem interesować powinno. — Gospodarzom i posiedzicielom włości polecamy „Encyklopedją rolniczą“ która od dnia 1 lipca rb. wychodzić zacznie w zeszytach miesięcznych w Warszawie pod redakcją Lubomirskiego, Przystańskiego i E. Stawickiego. — Nauczycielom szkółek wiejskich rekomendujemy obrazek wierszem, pióra niezmordowanego pisarza na polu literatury ludowéj Piotra Zbrożka p. t: „Bartosz z Trembowli.“ — Miłośnicy poezji w „Odgłosach z Gór“ Felicjana Faleńskiego znajdą niewyczerpane skarby uczucia i świeżości myśli, a poważni mężowie z towarzystwa Nauk. poznańskiego w ostatnim „roczniku tow. krakowskiego“ wyczytają ciekawe sprawozdania z czynności uczonych ich przyjaciół z nad Wisły.

* * *

Jak się dowiadujemy, do albumu Kopernika coraz to bogatsze gromadzą się materjały. Niezmordowany inicjator téj myśli X. Polkowski i p. Karol Beyer znamienity fotograf z Warszawy, sprawą tą zajmują się przedewszystkiém. Ostatni, jak nam mówiono, odfotografował już wszystkie ważniejsze pamiątki i wizerunki Kopernika w kraju się znajdujące.

Nie od rzeczy będzie wspomnieć na tém miejscu o innéj pamiątkowéj fotografji ś. p. Bogumiła Lindego, którą bardzo starannie wykonał p. Rembecki (dawniéj Hoff). Wzmiankowana fotografja zrobiona jest z autentycznego portretu nieodżałowanego autora „Słownika języka polskiego“ który, szczęśliwa okoliczność do rąk p. Rembeckiemu podała.

* * *

Nie chciałbym smutnie zamkąć dzisiejszéj kroniki a to z obawy aby mię nie posądzono o niezwykłą spleenowatość... Lecz jak tu wesoło kończyć, gdy wieść przychodzi o zgonie takiego męża jakim był Jan Perkowacz, jeden z najgłośniejszych poetów chorwackich, i jeden z najpopularniejszych przywódzców swego narodu? Wytłomaczą mi czytelnicy, przez wzgląd na niepowetowaną stratę jaką przez zgon tego męża słowiańszczyzna poniosła, łzę żalu którą zamykam zwykłą pogawędkę.

B.

Pan prezydent miasta Krakowa w kłopotach.

Obrazek sceniczny w 2 aktach

napisany przez

Józefa Narzymskiego.

Słówko objaśnienia.

Niedawno wpadł mi w rękę pamiętnik Filipa Nereusza Lichockiego, prezydenta miasta Krakowa przed i w czasie powstania Kościuszkowskiego. Postać ta z dziwną naiwnością odmalowana przez siebie samą, zdawała mi się być wybornym typem do obrazku dramatycznego, a to z rozmaitych powodów. Najprzód, że jest to jeden z typów mieszczaństwa naszego z końca XVIII wieku, które mało znając nauczyliśmy się sądzić podług Kilińskiego, powtóre, że rodzaj tęn ludzi niestety nie zaginął, i dziś jest może równie liczny, jak był przed wiekiem. Nareszcie, jest on rzeczywiście komicznym, prawdziwym i z życia wziętym. W obrobieniu téj głównéj figury trzymałem się ściśle pamiętnika, biorąc zeń nawet często całe ustępy żywcem. Zarzuty przesady jakie mnie spotykały, powodują te słów parę wyjaśnienia.

Kwiecień. **Autor.**

OSOBY.

Filip Lichocki — prezydent miasta Krakowa.
Scholastyka Lichocka — stara panna, jego siostra.
Andzia — jego córka.
Feliks Budzyński — ślusarz.
Wohlman, **Kaspery**, **Laszkiewicz**, **Kuczerowicz**, **Wytyżkiewicz** — Radzcy miejscy.
Pani Wohlman — radczyni.
Generał Wodzicki.
Biegański — jego adjutant.
Antek — czeladnik rzeźnicki.
Zawadzki — cyrulik a razem rotmistrz gwardji.
Małgorzata — kucharka prezydenta.
Kędziora — szewc.
Krauz — mieszczanin.
Goljan — feldfebel miejski.

Radzcy — mieszczanie — oficerowie — lud.

Rzecz dzieje się w Krakowie 1794.

UWAGA. Nie wolno przedstawiać bez porozumienia się z autorem.

AKT I.

(Mieszkanie Lichockiego, pokój dość skromnie umeblowany — nieco w głębi na środku stół, w okół krzesła, w głębi drzwi na prawo).

Scena I.

Lichocki — Feliks — Scholastyka — Andzia.

(Na lewo Scholastyka wyprostowana, czerwona, siedzi na kanapie czyta książkę — obok na krześle zapłakana i zadąsana Andzia, skubie z gniewem fartuszek — po prawéj Feliks stoi oparty o stół z miną smutną — po pokoju chodzi Lichocki w szlafroku. Lat około 50, dość opasły, fizjonomja mieszczańska, niezgrabny, ale pragnący nadać sobie minę poważną i majestatyczną).

Lichocki (chodząc, stanowczo). Owoż raz jeszcze powtarzam że nieprzymierzając nic z tego nie będzie...

Feliks. Ależ panie prezydencie!... Niech Waszmość pan...

Lichocki. Silentium!... powiedziałem...

Andzia (płacząc). Ojciec mojéj zguby chyba pragnie!... Ja chcę iść za pana Feliksa!...

Feliks. Widzi pan prezydent dobrodziéj!

Lichocki. Milcz waćpanna!... od kiedyż to nieprzymierzając, chcesz mieć własną wolę?...

Andzia. Zawsze chcę mieć moją wolę... a pan Feliks mi się podoba!...

Scholastyka. Anusiu! takie słowa w obecności kawalera ubliżają godności panieńskiéj!...

Andzia (płacząc). Co mnie tam z godności panieńskiéj... Ja kocham pana Feliksa!...

Feliks. Och! i ja kocham pannę Annę!...

Lichocki. Scholastyko! Scholastyko! źle wychowałaś, nieprzymierzając, moją córkę!...

Scholastyka. Bóg widzi, panie bracie, żem jéj zawsze ze siebie dawała przykład wstydliwości i dystyngowanego zachowania się...

Feliks (przerywając). Toż i ja przecie mam kamienicę i warsztat porządny, i pan prezydent nie patrzał na mnie tak krzywo, gdy był tylko radnym... albo syndykiem...

Lichocki (przerywając). Co było a nie jest, nie pisze się w rejestr; mówmy panie Budzyński nieprzymierzając dokumentnie...

Feliks. Owszém, mówmy.

Lichocki. Czém waść jesteś, panie Budzyński?...

Feliks. Przecież pan prezydent wié... majstrem ślusarskiego rzemiosła...

Lichocki. Dobrze, ergo nieprzymierzając rzemieślnikiem...

Feliks. No tak...

Lichocki. Dobrze... a ja czém jestem?

Feliks (zadziwiony). Jakto?

Lichocki. Ja jestem nieprzymierzając prezydentem stołecznego miasta Krakowa... prawda...

Feliks. Prawda.

Lichocki (wskazując na Andzię). A ona? czém jest nieprzymierzając?

Feliks. Pańską córką...

Lichocki. A więc prezydentówną... hę? prawda? co?...

Feliks. No, naturalnie...

Lichocki. A wiesz wasze co to prezydent znaczy?... co to jest prezydent?...

Feliks. To... to... tak niby jak burmistrz...

Lichocki. Oho! ho! kto to waści powiedział? Burmistrz to burmistrz, a prezydent to nieprzymierzając tak... niby... na ten przykład drugi król w mieście... We Lwowie jest burmistrz... ale w Krakowie... prezydent... panie dobrodzieju!... Oho! to różnica!...

Feliks. Niech i tak będzie... ale...

Lichocki. Mnie panie wszystkie feldfeble i kaprale i chorążowie municypalne słuchać muszą, ja nieprzymierzając na każdego mogę nałożyć karę, a tego skazać na grzywny, a tamtego na plagi...

Feliks. Wiém o tém...

Lichocki. A więc jakże waść mógłeś afekta swoje podnieść do mojéj córki?... Nieprzymierzając rzemieślnik do prezydentówny... panie Budzyński!... panie Budzyński!... (kręci palcem po czole jakby bzika wmawiając z Budzyńskiego).

Andzia. A mój dziadek czy nie był rzemieślnikiem?...

Scholastyka. Nasz świętéj pamięci rodzic, świeć Panie nad jego duszą, był cieślą a nie ślusarzem, to wielka różnica!...

Lichocki. Córko moja! proszę milczeć!... Scholastyko! Scholastyko!... źle wychowałaś moją córkę!...

Scholastyka. A jednak Bóg widzi... panie bracie!...

Lichocki (przerywając do Feliksa). Ale nie uważaj wasze na nią, to głupia dziewczyna nieprzymierzając choć prezydentówna... Bardzo mi miła życzliwość tak słusznego obywatela, ale...

Scena II.

Ciż i Małgorzata.

Małgorzata (wbiega z koszykiem pod pachą). Rety!... reteczki!... Jegomość! jegomość!... straszne rzeczy się dzieją!...

Scholastyka. Jaja potłukłaś!...

Lichocki. Pewno ten Dutkiewicz.

Małgorzata. O! już to ten kuternoga to zawsze nawydziwia: Aha! wrzeszczy!... to od prezydenta?... flaków?... kiełbasy?... a pewno darmo?... a bodaj on się zadławił moją krzywdą!... A nie może on płacić!...

Lichocki. A to rozbójnik nieprzymierzając!... No dam ja jemu!... więc nie dał?...

Małgorzata. Albo ja głupia dziś chodzić do jatek?...

Lichocki. A to czemu?...

Małgorzata. A! jegomościuniu! na ulicach taki charmider, że aż strach!...

Wszyscy. Co się stało? co się stało?...

Małgorzata. A! Bóg to wié! wojsko obstawiło bramy... nikogo niewypuszczają...

Lichocki. Nieprzymierzając to bunt oczywisty!...

Scholastyka. Jezus, Marja!.... pożoga!.... rabunek!.... gwałty!... jak przy zdobyciu Kartaginy...

Małgorzata. At! jeszcze nic!... tylko latają i krzyczą!...

Lichocki. Gdzie moja kapota?... gdzie kapota moja?...

Scholastyka. Gwałty, rabunek! (do Małgorzaty) A flaki masz?...

Małgorzata. Adyć panience mówiłam, że do jatek ani myśleć się dostać!... Jeszczeby mię Dutkiewicz skrzywdził za to mięso, co je dawno biorę... (zamieszanie — Lichocki się zbiera.... Andzia rozmawia z Feliksem).

Scholastyka. Boże, co za hałas!... jakie wrażenia!... a moje humory, moje humory!...

Andzia (do Feliksa) Niech pan nic nie zważa, tylko bywa u nas jak dotąd...

Feliks. Ale jeżeli ojciec zakaże... jeżeli się uprze.

Andzia. To i my się uprzemy... cóż to? albo ja niewolnica?...

Lichocki (któremu się ręce trzęsły z trudnością kładąc surdut.) A rozbójnik krawiec!... takie ciasne rękawy!... no przecież... Na Boga panie Budzyński... co to być może?... nieprzymierzając to bunt czy co takiego?... (Wbiega feldfebel miejski Goljan).

Scena III.

Ciż i Goljan.

Goljan. Pa... pa... pa...nie pre... pre...

Lichocki. Co takiego?... co takiego?...

Scholastyka. Człowieku okropny!... mów!... rabunek!... gwałty!...

Goljan. Pan... pan... radny... radny... kazał powiedzieć... wielmo...żnemu... prezydentowi... żeby się wielmożny prezydent schował...

Lichocki. Ja chować się?...

Goljan. Bo... bo... chcą... chcą... pana prezydenta... po... po...wiesić!...

Scholastyka. Jezus Marja!... nie mówiłam!... ratuj się panie bracie!...

Andzia. Ależ to być nie może!...

Małgorzata. O rety! reteczki!... jegomościunia powiesić! to pewnikiem Dutkiewicz za swoje flaki!...

Feliks. Ale to może nie prawda!...

Lichocki (który stał jak piorunem rażony). To się wie... to się wie... nieprawda... nieprawda... powiesić... powiesić.... mnie.... nieprzymierzając prezydenta!.... ktoby śmiał?... (żałosnym głosem do Feliksa) Ale widzisz waść... ja mam nieprzymierzając dużo nieprzyjaciół...

Scholastyka. Schowaj się panie bracie!.... schowaj!.... najwięksi mężowie się chowają w razie niebezpieczeństwa!... czytałam właśnie niedawno...

Lichocki (smutnie). Ba! niby to prezydent może schować się nieprzymierzając jak zwyczajny człowiek... (gwałtownie do Goljana). Ale ty durniu kłamiesz może!...

Goljan. Niech mi się nogi pokurczą... przy sukiennicach wrzeszczą jak opętani... na szubienicę prezydenta!... na szubienicę Lichockiego!... że aż miło...

Lichocki (wściekły). Ach, to tobie tak miło łajdaku!..

Goljan. Kiedy bo!...

Lichocki. Poszedł precz!.. (wypycha go) Zlitujcie się!... radźcie co tu począć?...

Andzia. Panie Feliksie! dowiedz się co to znaczy wszystko?...

Lichocki. A to.. to... to... doskonale, nieprzymierzając... Mój kochany panie Budzyński... ciebie ta hołota lubi. Nieprawda?.. to nie może być?... Oniby się na prezydenta nie cipnęli, nieprzymierzając..

Feliks. Ale naturalnie. (W tym czasie Scholastyka chodzi i od czasu do czasu rzuca słowa tonem nosowym ale tragicznie).

Scholastyka. Strach!... rabunek!... gwałty!... szubienica! pełno wzruszeń gwałtownych!... czuję jak mi humory do głowy uderzają...

Andzia. Ciocia zawsze z temi humorami .. Zdaje się Cioci!...

Scholastyka. Niestety!... ty tego niepojmujesz!...

Feliks. Pójdę więc.

Lichocki. Uspokójże ich;... mój mospanie dobrodzieju!... Ja ich się tam nie boję!... Piu!... hołota!.. bizuny dać każę!... ale zawsze nieprzymierząjąc dla pewności... Jak Andzię kocham, jam nic nie winien, ojczyznę zawsze miłowałem nieprzymierzając całą duszą! (Gdy Feliks zabiera się do wychodzenia, wchodzi Biegański).

Scena IV.

Ciż i kapitan Biegański.

Biegański (w mundurze oficerskim*) pułku Czapskich). Pan Filip Lichocki, prezydent?

Lichocki (przelękniony). Czy już po mnie?

Scholastyka. Bardzo przystojny oficer!

Biegański (do Lichockiego) To pan zapewne jesteś prezydentem? co?...

Lichocki (głęboko się kłaniając). Jakoby ja... to jest nieprzymierzając panie kapitanie...

Biegański. Więc pan?

Lichocki (ukłon jeszcze głębszy). Miałem honor oświadczyć... że jakoby ja... do usług... Filip Nereusz Lichocki, urodzony dnia 28 maja 1749, prezydent miasta Krakowa.

Biegański. Przychodzę z rozkazu pana Kościuszki...

Feliks (n. s. z radością). Ach! Kościuszko przybył!... (do Anny po cichu). Kościuszkę mamy a więc walka i zwycięztwo!... (wybiega).

Lichocki. Bardzo mi miło... że nieprzymierzając... pan Kościuszko...

Biegański. Otóż, z rozkazu pana Kościuszki, masz pan natychmiast zebrać urzędników miejskich i lud

---

*) Mundur granatowy z amarantowemi wyłogami, kask z dwoma piórami, pantalony białe, bez wąsów.

cały, bo im będzie objawiona wola narodu i przedstawiony pan Naczelnik... A tymczasem masz pan stawić się w pałacu jenerała Wodzickiego co to stoi przy Kapucynach... Straż waćpana przepuści przez szewską furtę... Żegnam...

Lichocki. Dobrze... bardzo dobrze... a możeby nieprzymierzając wódeczki kieliszeczek.. (n. s.) Może się dowiem czego?...

Biegański. Dziękuję.. Do Kościuszki spieszę (wychodzi).

Scholastyka. Bardzo dystyngowany młodzieniec; czyżby to tacy mieli rabować, palić i gwałty czynić?

Andzia (do Ciotki). A co Ciociu! mówiłam że pan Kościuszko przyjedzie!... Feliks dobrze powiedział...

Scholastyka. Imiona kawalerów nie mówią się bez dodatku pan... godność panieńska nie pozwala... Nawet Klarissa w listach swoich rzadko mówi przez Ty... (wychodzą).

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Korespondencje: Ze Lwowa i z Drezna.

Lwów 28 kwietnia.

Ze świata literackiego mogę wam zakomunikować o zawiązaniu się we Lwowie spółki księgarskiéj, do któréj wchodzi kilku literatów, na czele których stanął znany historyk Henryk Schmith. Nowina ta zapewne będzie równie dobrze przyjętą wszędzie, wiadomo bowiem jak wiele prac swoich literaci zmuszeni są wydawać własnym nakładem, gdyż inaczéj nigdy a przynajmniéj bardzo nieprędko ujrzałyby one światło dzienne. Wszystkie te nakłady własnym kosztem autorów wydane, najczęściéj stawały się pastwą księgarską, a autor nie miał nawet na pokrycie wyłożonych kosztów za druk i papier, nie mówiąc już o wynagrodzeoiu za pracę. I nie ma się czemu dziwić, taki już u nas stosunek księgarski. W roku zeszłym „Wydawnictwo Mrówki" podniosło głos publiczny przeciwko nadużyciom tego rodzaju. Bardzo wielu księgarzy u nas uważa nakłady powierzone im przez autorów za swoją własność i wcale nie myśli o żadnym rachunku, a i sumienni nawet, jakich niestety jest bardzo nie wielu, w skutek uciążliwych warunków jakie stawiają autorom, są dla nich bardzo niedogodnymi. Spółka księgarska literatów i nakładców będzie pośrednikiem między autorami a wydawcami. Rzeczona spółka posiada znaczny kapitał nakładowy i wielką ilość nakładów a nadto już prawie wszyscy tutejsi literaci powierzyli spółce swoje nakłady. Mamy nadzieję że księgarnia ta, jak najkorzystniéj oddziała na ruch książkowy i rywalizacją swoją pobudzi cały ten handel do większego życia. W dalszym rozwoju nie szkodziłoby aby spółka lwowska wzięła inicjatywę w urządzeniu podobnych i w innych miastach polskich.

Stolica nasza nie może znieść tego, aby nie posiadała własnego organu literackiego, ba, nawet choćby jedynego na cały zabór austrjacki, liczący przeszło 5 miljonów mieszkańców, — i upadek „Mrówki", ostatniego tygodnika literackiego, mocno zasmucił publiczność. Ze wszystkich stron słychać utyskiwania na brak zamiłowania do czytania i jak też to u nas nic utrzymać się w podobnym rodzaju nie może! Szkoda że ci panowie wylewający łzy krokodyle nie zapytają siebie samych, dla czego nie czytają, boć Lwów, który się ciągle popisuje nazwą stolicy podobnoć dostarczał 20 czy 30 czytelników pismom literackim!...

Wszakże pomimo to, że nie ma u nas więcéj nad 300 czytelników a i to bardzo wątpliwych, słyszymy o mającém powstać nowém piśmie, którego redaktorem wymieniają Teofila Szumskiego, autora kilku słabych powiastek. Pan Szumski był współzałożycielem „Mrówki", wszakże zbyt rychło się zmęczył pracą redakcyjną i ustąpił, to téż i obecnie nie wróżymy powodzenia nowemu pismu mającemu wychodzić za jego staraniem i pod jego kierunkiem. A nawet możebyśmy o tém nie wspominali, gdyby na to nie zasługiwał oryginalny wynalazek redaktora niepłacenia żadnych honorarjów autorom, co niby ma ułatwić wydawnictwo. W takim razie pozostanie redaktorowi samemu zapisywać cały numer, albo przyjmować to wszystko, co z łaski dostanie, wątpimy, aby pismo na tém zyskało i znalazło gorliwych czytelników. Okaz podobnego pisma mieliśmy w roku zeszłym w „Dziewicy" wydawanéj przez państwa Pietraszewskich, w któréj artykuły były podpisane przez pana Pietraszewskiego, panią Pietraszewską i przez oboje. Owéj sławnéj Dziewicy wyszedł tylko numer jeden!...

Dyrekcja teatru naszego namyśla się czy przedstawić sztuki uwieńczone na konkursie w Krakowie, czy nie? prawdopodobnie przyjmie to ostatnie. Nie żądajcie odemnie abym wam pisał o teatrze, bo takie lichoty przedstawiają i tak nędznie, iż nie sposób uczęszczać na widowiska. Dopiero w maju ożywi się scena nasza z przyjazdem pani Modrzejewskiéj. Zapowiadają także gościnne występy słynnego Żółkowskiego.

Opuściły we Lwowie prasę dwa pierwsze numera nieperjodycznego pisma p. t.: „Demokrata Polski", którego autorem jest Karol Groman, b. redaktor „Dziennika lwowskiego." Numer pierwszy p. t.: Rozbitki rozbiera przyczyny upadku Tow. Demokratycznego lwowskiego; drugi p. t. Polacy w Wiedniu, zajmuje się delegacją naszą. Jako o pracy politycznéj o tych pisemkach mówić obszerniéj nie będziemy, zasługują one wszakże na uwagę ze względu, iż autor ich należy do przywódzców najskrajniejszéj opozycji tutejszéj.

K. S.

Drezno 29 Kwietnia.

Ze wszystkich ognisk polskiego życia, zgromadzacie promyki — splatacie je z sobą w wiązankę światła, przy którem poznawać się mamy wzajemnie, uczyć jedni od drugich i wzajemne między sobą zachowywać czucie. Liczne korespondencje waszego pisma, wielką są jego zaletą — a pokazują, że dążycie do wysokości zadania dziennikarskiego. Obok korespondencji z miast polskich — umieście czasem list z Drezna, boć i tu okruchy Polski gromadzą się, żyją — pracują. Niezostawiajcie nas po za obozem jak straconą, zapomnianą pikietę. Zatracić niedamy się sami, niezapominać o nas, do was należy. — Tem więcéj Dreznu należy się pamięć, że to pierwsza stacja etapowa nad drodze pielgrzymiéj, wygnańców — tułaczy. Tu pierwsze łzy boleści kroplą się w tęskniącem oku — tu pierwszy trud tułactwa, tu pierwsze ciernie wygnania. A ileż to wspomnień narodowych przywiązało się do tego miasta wielu polskich pamiątek. —

Pominąwszy czasy królowania kurfirstów saskich, Drezno na bardzo wielu kartach porozbiorowéj historji naszéj, wyczytać można. Ztąd też i pewna sympatja nasza do tego miasta, niejakie zaaklimatyzowanie się polskości na niemieckim gruncie — czasem przynajmniéj zdawać się może, żeśmy u siebie. — Mogił polskich niemało na katolickim cmentarzu — a życia polskiego spłynęło tu wiele. —

Mogiły zostały — zostały wspomnienia — życie zmienia się, przekształca, jak zmieniają się ludzie — chwile czasu — usposobienia. Dziś, może i mniéj życia, mniéj ruchu niż zwykle, bo katastrofy na zachodzie

niemogły pozostać bez wpływu na nas rozbitków; — jednych przygniotły, zgnębiły — innych zatrzymały w domowym progu, a ci nie dostarczyli w tym roku zwykłego kontyngensu. —

Jednak szczupła gromadka rusza się jak może. Teatra amatorskie, odczyty — kasyno, stowarzyszenie przemysłowców — oto objawy i ogniska polskiego życia. — Czasem chwilowa jakaś martwota, zakuwa nas w lodowatą obojętność — jak w czasie przedświątecznych odczytów na rzecz Tow. Przemysłowców. Ani znakomite imię pierwszego prelegenta — ani ciekawe temata następnych odczytów — nieściągnęły więcéj nad kilku, lub kilkunastu słuchaczy. Na odczycie Kraszewskiego doliczyliśmy się osób trzynastu, oprócz członków Tow. Przemysłowców. — A przecież przedmiotem odczytu była: historja księcia Józefa! a przecież wypowiadał ją Kraszewski! —

Odczyt p. Władysława Ordona o Romanowskim, wielce przyjemny — a nader starannie opracowany, mniéj jeszcze liczył ciekawych.

O „Psalmach przyszłości Krasińskiego“ — czytał p. Czesław Pieniążek. Praca to również pożyteczna — a konieczna — abyśmy przecież z drobnych prac i szczegółowych, kiedyś złożyli całą — wyczerpującą monografję Krasińskiego, jakiéj doczekał się Słowacki. — Na obu tych odczytach było raz dziewięć, drugi raz piętnaście osób. — W Dreznie mieszka co najmniéj pięciu-set polaków. — Jakiż to mały procencik znalazł przyjemność w rozrywce umysłowéj....

Drezno — toć niby Florencja niemiecka. Jakżeż niedonieść Wam o sztuce — o galerji. Ale o któréj? — o dawnéj — znanéj, opisywanéj, uwielbianéj — cóż pisać nowego, chyba niedołężnie to powtarzać, co inni znakomicie opisali. — Więc o nowéj, w któréj zgromadzono dzieła mistrzów niemieckich dzisiejszéj doby. Smutno się po niéj rozglądać — sztuki nieznajdziesz — zapanowało rzemiosło. Uderza w oczy wielki obraz Hübnera, prof. akademji drezdeńskiéj: „Dysputa Lutra.“ Jakiż to temat bogaty, jakąż to można osnuć kompozycję na tle téj doby, w któréj się dzieje chrześciaństwa na dwie łamią połowy, w któréj duch ludzkości rozpoczyna walkę z tłoczącą go niewolą formy, ze zmorą zastoju, spruchnienia myśli. A jednak — ta kompozycja Hübnera — jednego z najsławniejszych artystów dzisiejszych Niemiec, tak słaba, tak nieudolna, że zbyt ryzykownie nazwać ją artystyczną. Postacie uszykowane niewolniczo, ugrupowane z jakąś symetrycznością militarną, zdaje się że to ustawione manekiny, bez ruchu, życia, myśli. A sam Luter jakże wystrugany, drewniany, jakaś przydrożna figura. To nie reformator, którego głosu słuchały miliony, to nie geniusz, lecz jakiś handlarz, co po kuflu piwa dysputuje o rzeczach jego fachu tyczących. Może jedyną zaletą byłby rysunek, ale i ten jakoś tak anatomiczny, że mimowoli prosectorium staje na myśli. Koloryt jaskrawy, a dziwna jaskrawość, bo same półtony, całość jak pisanka wielkanocna. Światło wodniste, białe jakieś, jakby słońce mleczne rzucało promienie.

Inne rzeczy nieszczególne — więcéj w nich technicznéj, niż artystycznéj wartości. Snać uronili Niemcy ideał, poezję — śród politycznego swego pochodu, śród uganiania się za siłą, materyą, realizmem. Czy to zlodowacenie chwilowe ducha, czy upadek? — pokaże przyszłość. My dumni być możemy. Warszawa, Kraków, Lwów nawet od niedawnego czasu, każde z nich więcéj zadowoli poczucie artystyczne, niż nowa galerja drezdeńska. Matejko, Grottger! — tych zdaje się niedościgną dzisiejsze Niemcy. Stracili czucie z historją, historję umieją, lecz jéj nie czują. Zabijają ideje, szukają faktów, jakby fakta nie snuły się z ideji.

A nasz Kossak, Gierymski, o ileż wyżsi w swoim rodzaju od niemieckich pseudo Vernetów! Dość porównać liczne illustracje z najnowszéj wojny, umieszczane w pismach niemieckich, z illustracjami Kossaka w Tygodniku Warszawskim. — Rycerskość u Niemców zatonęła w żołdactwie, poezję grozy wojennéj zastąpił mechanizm zimny, bezduszny. Jakaż to olbrzymiéj szerokości granica dzieli Niemcy dzisiejsze od Ruysdala, Holbeina a choćby drobnego Schalkena. Istotnie, że jeden promyk u świeczki Szalkenowskiéj więcéj ma znaczenia w obec sztuki, niż cały wielki i pretensjonalny obraz Hübnera. —

Dumni możemy być z naszéj sztuki, która dobiła się już pierwszorzędnego stanowiska — a za malarstwem i sztuką w ogóle, bodaj rozwijało się całe życie umysłowe narodu w tym samym stopniu, a wtenczas ową „pitié“, o któréj tak trafnie napisał wam autor z Wągrówca, będziemy mogli innych częstować, dotąd sami nią traktowani.

Oficyna Kraszewskiego nigdy nie jest bezczynną. Wyszły 2 tomy „Biblioteki pamiętników i podróży po dawnéj Polsce“ — mianowicie tom IV „Pamiętnik jenerała brygady Wielkopolskiéj“ i tom V „Pamiętniki Bukara.“ — Drukuje się już tom VI „Pamiętniki Niemcewicza“, szczególniéj obszernie spisywane w czasach księstwa Warszawskiego. — Niewiele mamy z téj epoki: historją Skarbka i trochę prac rozrzuconych. Do materjałów, przybędzie znakomity, bogaty. —

Zainteresować was pragnę fotografją Bosaka, wykonaną przez pana J. Wł. Bobrowicza. Jest to jedyna fotografja mogąca zwać się autentyczną. Prócz portretu bohatera, wykonał p. Bobrowicz fotografją medalu, jaki Bosakowi we Florencji ofiarował Lenartowicz. Podwójna więc wartość téj fotografji. Cena jéj wielce przystępna, podobno po 5 sgr. egzemplarz. Zamówienia przyjmuje Administracja „Tygodnia.“

Boję się, by was zbytecznie nie znudzić moją pogadanką, a do mówienia byłoby niejedno Na dziś słów tych kilka, przy zdarzonéj sposobności przypomnę wam znowu, że macie braci nad Elbą, a teraz niech mi wolno będzie zakończyć: do widzenia!

K. Cz.

Skrzynka do listów.

X. L... w Rzymie: Przesyłka jednego talara doszła nas.

P. S... P... w Środzie: I my biadamy nad tém, że nasz język przepełniony jest obcymi wyrazami, ale niestety zaradzić temu nie możemy. Wzmiankowany przez Pana Słownik istnieje już od r. 1861; wydany w Wilnie nakładem księgarni Maurycego Orgelbranda p. t.: „Słownik języka polskiego, obejmujący oprócz zbioru właściwie polskich, znaczną liczbę wyrazów z obcych języków polskiemu przyswojonych; nomenklatury tak dawne jako też nowo w użycie wprowadzone do różnych nauk, umiejętności, sztuk i rzemiosł; nazwania monet, miar i wag główniejszych krajowych i prowincji itd. itd.“ — Nie mając pod ręką katalogu rzeczonéj księgarni, o cenie tego dzieła donieść Szanownemu Panu nie umiemy.

P. F...: Życzeniu jego stało się zadość.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.